LUDZIE WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK III POZNAŃ LISTOPAD 1933 NR. 11 (26)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

ZAMIERZONA, NIEDRUKOWANA KSIĄŻKA
ST. PRZYBYSZEWSKIEGO I JERZEGO HULEWICZA Z R. 1916

W lipcu i sierpniu 1916, w okresie dojmującego kryzysu ekonomicznego, spowodowanego wstrząsami wojny, przebywali pp. Przybyszewscy z córką p. Jadwigi Przybyszewskiej i Jana Kasprowicza, Janiną, dziś p. Małaczyńską, w majątku pp. Jerzostwa Hulewiczów w Kościankach, pow. wrzesińskim. Długie rozmowy tych paru tygodni, ogniskujące się koło zagadnienia stworzenia pisma artystycznego wydały owoc rok później w formie „Zdroju". Zwiastunem projektowanego dwutygodn. miała być publikacja „Sny na jawie" z tekstem Stan. Przybyszewskiego, rysunkami Jerzego Hulewicza. Wydawnictwo nie doszło do skutku. Praca autora „Synów ziemi" weszła częściowo do książki „Szlakiem duszy polskiej" (1917), w całości ukazała się w r. 1918 w „Zdroju", tom III, str. 66—69 i 104—109. Sprawa stała się dziś znów aktualna wskutek nieporozumienia, dzięki któremu wspomniany essay wydrukowany został 14. paźdz. br. w II-gim numerze „Pionu" jako „niedrukowany ostatni rękopis" St. Przybyszewskiego. Ponieważ w posiadaniu mem znajduje się Wstęp do „Snów na jawie", który — o ile się nie mylę — istotnie publikow. nie był, podaję go publiczności polskiej. Puścizna St. Przybyszewskiego — pośmiertna — jest bardzo uboga. Pisarz tak ciągle gonił resztkami pieniędzy, że wyprzedawał na pniu owoce swej pracy. Tylko bardzo gruntowne zbadanie zawikłanej bibljografji da nam z czasem stuprocentową pewność, gdzie i ile razy teksty prac jego były ogłaszane. Dzięki uprzejmości p. Wandy Hulewiczowej, która w r. 1916 manuskrypt własnoręcznie przepisywała, mam przed sobą również prawie cały komplet oryginalnych rysunków jej męża, przeznaczonych do publikacji, o której mowa. Jest to nr. 4 — kościół drewniany (strona połudn.), 5 — kościół drewniany (strona półn.), 7 — kościół murowany z gontowym dachem, 8 — witraż do kościoła drewn. (Chrystus na krzyżu i 4 postaci), 9 — ołtarz w kościele drewnianym, 10 — ambona w kościele drewnianym, 11 — filar w kościele drewnianym, 12 — kapitel rzeźbiony w drzewie, 13 — filar rzeźbiony w drzewie, 14 — inny filar rzeźbiony w drzewie, 15 — kościół murowany z dachem gontowym lub starą dachówką (strona południowa), 16 — kościół murowany (str. zachodnia). Do zbioru należy prócz tego fotogram „Kościółka w Otoczni", malowanego przez J. Hulewicza (nr. 3), „Kościół w słońcu", zdjęcie obrazu Czaykowskiego (nr. 1), trzy szkice ołówk. kościołów



Jan Mroziński — Krajobraz wielkopolski (ol.)

i ich planów oraz karta tytułowa formatu wielkiej ósemki z sylwetką kościółka modrzewiowego z liśćmi polskiego ostu, rzuconemi tuszem na pierwszy plan rysunku.

Tytuł książki miał brzmieć Stanisław Przybyszewski i Jerzy Hulewicz: „Sny na jawie". Treść essayu zasługuje na podkreślenie i baczną uwagę zwłaszcza w sferze duszpasterzy, zaszczyconych pieczą o artystyczną wartość świątyń polskich. Trudno nie przyznać twierdzeniom autora słuszności, gdy mówi o charakterze polskim naszych wiejskich kościołów. Dostojna nuta szlachetnie i szeroko pojętego regjonalizmu brzmi z „Snów na jawie". Wskazuje na to i przedmowa, którą podaję w całej rozciągłości, bez żadnych zmian.

Warszawa, 10. X. 33.

Stanisław Helsztyński.

*

Stanisław Przybyszewski

Słowo wstępne

Kiedy jął mi się majaczyć nasz „kościół polski", jakim go już od wczesnej młodości mieć pragnąłem, nie myślałem, że szczęśliwy traf pozwoli mi się zetknąć z szczerym i prawdziwym artystą, dla którego wszystkie myśli i marzenia moje, jakie się snuły naokoło tego pięknego widziadła: kościół polski dla polskiego ludu — nie tylko, że nie były obce, ale przeciwnie, jakby je już sam był przemyślał i sam je śnił, bo każda z mych myśli przeoblekała się w jego twórczej fantazji w tej chwili w plastyczne formy i kształty, to, co u mnie było zarysem, uzmysławiało się u niego w pewne linje, a mgliste, moje pomysły stały się w jego rysunkach rzeczywistą jawą.

Tem się tłomaczy w niniejszej pracy on harmonijny dwójgłos słowa i widomego kształtu, i tem się tłomaczy, że gorący i twórczy współudział p. Jerzego Hulewicza w rozsnuciu wspólnych myśli i ich plastycznem uwidocznieniu z głęboką wdzięcznością zaznaczana połączeniem naszych obu nazwisk i w równej mierze niechaj na nas potem padną gromy i w równej mierze przypadnie nam w udziale życzliwy poklask tych, dla których „podniebne strefy marzeń" są zażyłe.

A jeżeli jakiej książce przynależałby ten współzrezygnowany, wpół melancholijny tytuł, jaki nadaliśmy naszej książce, to właśniej tej, która zdaje się głosić niesłychane jakieś przewroty, a w rzeczy samej jest niczem więcej, jak tylko odblaskiem gorącej myśli narodowej, jaką nas ożywiała, gdyśmy tę kosztowną przędzę naszych marzeń snuli „Sny na jawie!"

Może być, że się nigdy nie urzeczywistnią, może się wydadzą złudną, całkiem fantastyczną chimerą, ale w snach tkwi zawsze coś proroczego — coś, co zwiastuje jakieś wydarzenie choćby i w najodleglejszej przyszłości.

Jawa obecnej chwili nie zapowiada wprawdzie rychłego urzeczywistnienia tych snów — tem lepiej. Im więcej snów i pragnień wokół „kościoła polskiego" lęgnąć i ogniskować się będzie, im więcej tęsknot najgorętszych artystów polskich z tym pięknym mirażem się połączy, im więcej wydostojniej dusza narodu, wyrwana z uprzęży tradycji twórczej niemocy i bezmyślności bezdusznego wyjałowienia, jakie się w kościele polskim panoszy i „Sztuką" się zowie, im więcej wyzwalać się zapragnie z pod jarzma tego nierządu artystycznego, do którego tak już przywykła, że prawie go nie widzi — tem więcej potężnić będzie to dzis jeszcze chimeryczne „Słowo" i tak długo, dopóki się wreszcie „ciałem" nie stanie! Projekt kościoła polskiego, jakim go tu przedstawiamy jest li tylko próbą uzmysłowienia naszych widzeń i niema najmniejszej pretensji, by problem tegoż kościoła w tej właśnie formie miał być ostatecznie rozwiązany — przeciwnie, będziemy szczęśliwi, jeżeli myśl przez nas poruszona, padnie na twórczy grunt i wyda jak najobfitszy plon pomysłów jej realizacji — mniejsza o to wreszcie, czy z naszych prób uzmysłowienia tęsknoty za „kościołem polskim" chociaż jeden strzępek zostanie, byleby w tem wszystkiem ostały się niewzruszenie dwie zasadnicze myśli:

Dla ludu polskiego, duszy i myśli polskiej jesł bezwzględnie potrzebny kościół czysto polski — i tylko polski. Kościół ten ma wygnać ze swoich podwoi wszelaką tandetę, mniejsza o to, swojską, czy obcą, nie mającą nic z sztuką prawdziwą wspólnego, a na oścież otworzyć się dla istotnej sztuki polskiej na wszystkich drogach jej przejawów.

Kościół polski ma być nie tylko drogą do Boga, ale poza objawieniem wiary — ma być jeszcze poznaniem Boga w jego najwspanialszym tworze:

W Narodzie i jego Sztuce!

A czyż istotnie trzeba tę myśl, to gorące pragnienie, tę żarliwą tęsknotę za tym wyśnionym kościołem wygnać do krainy snów?

Przyjdzie nam długo czekać na odpowiedź — będziemy szczęśliwi, jeżeli posłyszymy choćby słabiuteńki oddźwięk naszego głosu w sercach i mózgach ludzi dobrej woli.

Wrzesień 1916.

ZOFJA BEILMANNÓWNA-POCZOBUTTOWA:

NA MARGINESIE BAJEK CZESŁAWA KĘDZIERSKIEGO*)

Gdy poraz pierwszy dostał mi się do rąk zbiorek „Bajek polskich Wujka Czesia", miałam wrażenie, że znam je już od bardzo dawna. Stanęły mi w pamięci dni mego dzieciństwa, kiedy to jeszcze byłam uczenicą niemieckiej szkoły powszechnej. Mam miłe wspomnienia z owych czasów i pamiętam wszystko bardzo dokładnie. Za to, że dobrze się uczyłam, dostawałam co miesiąc czy też co dwa tygodnie gazetkę, wydawaną w Lesznie dla poznańskiej młodzieży szkolnej, „Jugendland", a i często różne piękne książki z bajkami i prawdziwemi opowiadaniami, jak Sell'a Posener Findlinge albo cały szereg tomików Krausbauera (insp. szkolnego z Wrześni) „Heimatbilder, Geschichten aus dem Posener Lande".

Największą radość miałam zawsze, ile razy znalazłam jakieś opowiadanie z okolic mi znanych, np. o lasach czarnkowskich, o stawie boruszyńskim itd. Kochałam bardzo owe bajki, które budziły we mnie gorące uczucia regjonalne, to też pod ich wpływem śpiewałam z wielkim zapałem w szkole „Heimat, mein Heimatland am Warthe-Netzestrand".

Pamiętam też, jak starsze siostry oburzały się, że Niemcy o naszej polskiej ziemi śpiewają niemieckie pieśni, wmawiając w nas, że „ich bin ein Preusse". Nie rozumiałam wówczas oburzenia moich sióstr, nasuwało mi ono jednak różne wątpliwości, z których zwierzałam się jednemu z moich nauczycieli. On mi wszystko tak przekonywująco umiał wytłumaczyć, a ja, powtarzając po każdej takiej rozmowie jego słowa, dowodziłam siostrom, że przecież naprawdę jesteśmy Prusakami. Prowincja poznańska jest tylko jedną z prowincyj Prus, a zatem wszyscy jej mieszkańcy są Prusakami. A to, że po polsku mówimy? Przecież ów nauczyciel mówił po francusku, a jednak Francuzem nie był. A że pacierz mówimy po polsku? Toć ksiądz niemiecki modli się też po łacinie, a jednak nie przestaje być Niemcem. Wszystko to było takie jasne, co mi mój nauczyciel mówił. Wierzyłam mu i z zapałem czytałam o „Heinrich'u z poznańskiej wieży ratuszowej, o „Frohgemucie", który odkrył sól pod „Hohensalza", o karzełku „Rumpelstilzchen", który pomógł biednej dziewczynie zostać królową przez to, że prządł za nią złoto ze słomy, i nie zliczyłabym wszystkich tych baśni, które niegdyś wprowadzały mnie w zachwyt.

Gdy po wielu latach czytałam bajki Wujka Czesia, zdawało mi się, że znalazłam wśród nich dawne moje znajome z dzieciństwa. Niebawem poznałam jednak, że autor „Bajek polskich" dał zupełnie coś nowego. Pomijając formę, którą zastosował do deklamacji albo głośnego czytania — gdyż jak wiadomo wygłaszał je w audycjach dla dzieci przez radjo poznańskie — wrócił przedewszystkiem bajkom ich polski charakter. Jeśli

*) Czesław Kędzierski: „Bajki Polskie Wujka Czesia".

JAN SZTAUDYNGER:

POZNAŃ

(Z nowego tomu Ballad Poznańskich)

Jest nas troje na świecie,
Ja, księżyc, no i Warta.
Miasto dziwne, odmienne
Rośnie na naszych wargach.

Księżyc — srebrem je poi,
Do snu, do straty tchu,
W Warcie się dwoi, troi,
Urasta do miast stu.

A we mnie stysiącznieałe,
Na tysiąc kropel rozbite,
Znowu się w rzekę zlewa
I płynie burzą zachwytu.

ARTUR MARJA SWINARSKI:

Z cyklu „LIPY W OPOROWIE"

INDYCZKI

Zmartwychpowstały wszystkie stare ciotki,
czarnoubrane dewotki.
Indyczą się, krzyczą i kraczą,
z trwogą rozumiesz ich mowę:
„Może nareszcie teraz, smarkaczu,
uwierzysz w życie pozagrobowe!"

LIPY

Lipy w Oporowie mają tyle rąk,
a w każdej dłoni pełno maleńkich serc.
Nie kocham dębu przy bramie — jest jak gong,
a lipa, to słodkie scherzo.

Scherzo zagrane w mol,
wiatr je wygłaskał jak z fletu
(do — re — mi — fa — sol —)
z sercowych, z lipowych bukietów.

Scherzo zagrane w dur,
płynące z bioder śniadej wiolonczeli,
albo ze złotych chmur
pszczelich i trzmielich.

Dlaczego milknie granie dwojga scherz?
Listopad flety złamał;
do nóg mych spadły garście złotych serc,
a każde prosi: Vale et me ama!

MARJAN TURWID:

MOI PRADZIADOWIE

Mój pradziad po mieczu z pługiem chodził w polę
i przez żywot cały
siał pot w wielkopolską rolę —
a odpoczywał tylko przy niedzieli
w tymże się modląc kościele,
w którym czcił Boga pradziad po kądzieli.
Mój pradziad po kądzieli miał we krwi błękity
i miecz dźwigał u pasa. A pas był słucki, lity.
Czerwone wzuwał buty na jaśnie-pańskie nogi,
nie były mu zbyt strome królewskie choćby progi.
Gdy w pole chciał, pysznego siodłano mu bachmata; —
wśród pól się pradziadowie najczęściej spotykali.
Jeden się w pas pochylał — —
a drugi — rzucał dukata
na ziemię, którą inaczej, lecz mocno obydwaj kochali.
Jeden w nią pot lał co dnia,
a drugi krew w potrzebie.
Za to ich przygarnęła,
gdy zmarli, miłośnie do siebie.
Za żywot pracowity
rycerską śmierć ofiarną,
ziemia ich proch zmieniła
w siew wydający ziarno...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Dziś Polsce śpiewam wolnej
ich prawnuk znakomity;
w tem znakomitość moja,
żem — — Polak całkowity.

SERGJUSZ JESIENIN:

przekład Eugenjusza Morskiego

* *
*

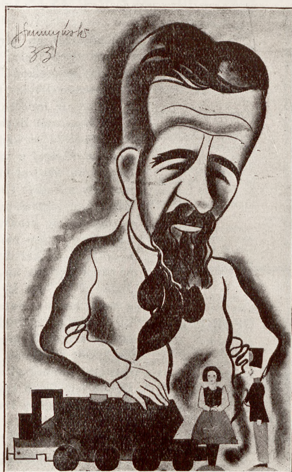
Niwy zżęte lasy gołe,
wilgoć z wody mgłę zrodziła,
za dalekie góry kołem
słońce ciche się stoczyło.

Drzemie droga, lgnąc pod ugor,
jej się dzisiał wydawało,
że na zimę już niedługo
oczekiwać pozostało.

Ach! i ja w gęstwinie drepcąc,
zobaczyłem jak w tumanie,
rudy księżyc wczoraj źrebcem
wprzągł się sam do naszych sani.

Kędzierski bierze tematy, opracowane poprzednio przez Niemców, którzy chcieli nawet baśń naszą wielkopolską zgermanizować, by przez nią łatwiej trafić do serc polskich, to autor nasz prostuje tylko kłamstwa i wraca baśniom ich polskość. Niemcy wprowadzili do podań ludu naszego osoby o nazwach i charakterach niemieckich, często nawet swych kolonistów. Uzupełniali te podania motywami z bajek Grimma, które zupełnie obce są baśni polskiej. Kędzierski skreśla wszystkie okrucieństwa Grimma, a przyjmuje raczej wpływ subtelniejszego i łagodniejsz. Andersena. Baśń polska więcej bowiem kształci serce, niż fantazję. To też gdy w niemieckiem opracowaniu Sell'a pt. „Der Posener Rathausturm und der Krähenkönig" kruki wydziobują nieprzyjacielowi oczy, to w bajce Wujka Czesia pt. „Trębacz ratuszowy i król kruków" biją tylko skrzydłami w twarze napastników.

Lepszym jeszcze przykładem będzie bajka p. t. „Wesoły Ino i król karzełków". Zasadniczy motyw, mianowicie odnalezienie soli pod Inowrocławiem, jest też w bajce niemieckiej Sella p. t. „Die Glückskugel", w której Frohgemut, odnalazłszy kulę szczęścia, nie chce jej oddać staruszkowi, choć ten klęka przed chłopcem i płacząc błaga o tę kulę. Daje mu ją dopiero wtedy, gdy starzec obiecuje mu pokazać swe podziemne królestwo soli. Zupełnie inaczej opracował ten sam motyw Czesław Kędzierski. Ino ratuje karzełka przed ropuchą, ale i ropusze nie czyni krzywdy, tylko straszy ją, świstając i wołając: „Siu, ropucho!" — oraz bucząc groźnie: „Bu, bu, buu!" W bajce niemieckiej spotyka Frohgemuta nagroda tylko za jego wesołość, Ino staje się panem kopalni przedewszystkiem za dobre serce. Niósł karzełka na ramieniu, gdy ten nie mógł za nim podążyć, tęsknił w kopalni za ubogimi rodzicami, choć nie okazywał smutku, podczas gdy Frohgemut w swem szczęściu zupełnie o rodzinie zapomniał.



H. Smuczyński

CZESŁAW KĘDZIERSKI

Stworzył więc Kędzierski prawdziwie wielkopolską baśń regjonalną. Ożywił nią całą Wielkopolskę. W jego baśniach ruiny zamków nabierają życia i opowiadają dziwy. Zamek Wenecja między Gąsawą a Żninem mówi o skąpcu, którego wybawiła od kary sierotka Dobrochna, fale jeziora zbąszyńskiego zdradzają tajemnice zamku, który stał niegdyś nad jeziorem, a pod Gołańczą wypływa co roku 23-go czerwca o północy kasztelanka Baśka z jeziora, zrywa róże wodne na wianek i patrzy tęsknie na ruiny zamku, w którym niegdyś mieszkała z ojcem i gdzie z wieży rzuciła się do wody, ponieważ nie chciała zostać żoną Szweda.

Stare drzewa szepcą tajemnice z dawnych czasów. Sosny, stojące obok kamienia świętej Jadwigi w lesie jedleckim pod Kucharami szumią baśń o braciach, którzy się bardzo kochali, a których czarownik poróżnił przy pomocy złota. Za karę przydusił ich ów kamień. — O starym zamku szubińskim, jego bogatym panu i biednym pastuszku Maciosiu mówią nam dęby odwieczne na wzgórzu nad rzeką Gąsawką. — Sosna o dwóch pniach, złączonych gałęzią poprzeczną, w lasku miejskim w Kościanie była świadkiem porwania złotej kuli małej Danusi przez tajemniczego ptaka.

Fale jeziora Świętego koło wsi Chwalima opowiadają baśnie o zatopionej wiosce, tajemnicą pachną konwalje na wyspie w jeziorze koło Przementu, a cała Wielkopolska pełna jest skarbów baśni, które przez długie lata zbierał i wreszcie w pięknej literackiej formie podał Czesław Kędzierski.

MIECZYSŁAW DEREŻYŃSKI:

KILKA SŁÓW O MACIEJU WIERZBIŃSKIM

Była i jest niezbyt bogata nasza literatura wielkopolska, nie obfitująca w bujne talenty i genjusze pisarskie.

Jeśli chodzi o powieściopisarzy, to nie mieliśmy ich wielu. Autorami powieści ludowych byli: *Józef Chociszewski* (urodzony w Chełście pod Czarnkowem), *Ignacy Danielewski* (z Borku), *Franciszek Ksawery Tuczyński* (z Jabłówka pow. szubińskiego), *dr. Karol Ney, ks. Bażyński* i kilku innych.

Do historji literatury przeszli powieściopisarze: *Stanisław Przybyszewski, Teodor Jeske-Choiński* (z Pleszewa) i śp. *Maciej Wierzbiński* (z Poznania). Ten ostatni, zgasł niedawno w Warszawie, był dziennikarzem, recenzentem teatralnym, dramaturgiem, powieściopisarzem i tłumaczem literatury obcej.

Maciej Wierzbiński, syn publicysty i posła Władysława Wierzbińskiego i Felicji z Koszutskich, urodził się 15. II. 1863 r. w Poznaniu. Gimnazjum ukończył w Opolu na Śląsku. Na uniwersytecie berlińskim studjował prawo. „Jego pierwsza młodość — pisze Teodor Jeske-Choiński — przypada na chwilę, w której Poznań postanowił być praktyczny. Wszelkie muzy, wszelką dziatwę Apollina skazano około 1870 r. nad Wartą na banicję, wypędziwszy je bez litości z miasta Libeltów, Morawskich, Raczyńskich".

Wierzbiński czuł powołanie do pióra od lat najmłodszych. Już na ławie szkolnej napisał dwie nowelki: „Grusza na pustkowiu" i „A jednak pokochał", drukowane w poznańskim „Tygodniku dla kobiet". Pod wpływem jednak panujących prądów postanowił zostać ekonomistą i przerzucił się do handlu. Odbył praktykę kupiecką w Antwerpji, poczem przeniósł się do Anglji, gdzie w Londynie działał jako reprezentant fabryk francuskich i amerykańskich.

Zajęcia handlowe nie pozwalają Wierzbińskiemu na twórczość literacką. Nęci go jednak pióro, więc od 1895 r. zaczyna znów pisać, lecz prawie wyłącznie po angielsku. Talent jego wkrótce zwrócił uwagę sfer literackich Londynu na młodego pisarza, tworzącego w języku obcym, przyswojonym. Po pewnym czasie zaczął Wierzbiński nadsyłać z Londynu korespondencje do pism poznańskich i warszawskich, w których umieszczał też nowele, szkice i obrazki — bądź pod nazwiskiem, bądź pod pseudonimem: *Roman Rola.*

Wróciwszy do kraju na początku 1901 r. objął stanowisko redaktora naczelnego w „Dzienniku Kujawskim" w Inowrocławiu. Redaktorem odpowiedzialnym był niejaki *Roman Wojtkowski,* który z Wierzbińskim nieustannie „darł koty". Kierunek pisma staje się radykalno-narodowy. Walka z hakatą bezwzględna. Paraliżuje się działalność komisji kolonizacyjnej, potępia „chrzty pruskie", atakuje system szkolny. Sprawa wrzesińska znajduje oddźwięk w „Dzienniku" bardzo wcześnie. Korespondencje z Wrześni są obszerne, dokładne, rewelacyjne (autor nauczyciel Gardo). Wojtkowski nie chce się narażać, stąd tarcia między nim a Wierzbińskim.

W numerze 74 z 1902 r. ukazał się artykuł (nadesłany) pt. „Dola dzieci wrzesińskich", w którym nazwano szkołę wrzesińską „zakładem karnym". Prokurator pociągnął Wojtkowskiego do odpowiedzialności. Ten w śledztwie zwalił winę na Wierzbińskiego, który za to pozbawił go posady. Tymczasem pan Maciej wniósł do kompetentnych władz podanie o odnowienie paszportu, chcąc odwiedzić krewnych w Warszawie. Magistrat stawiał trudności z powodu skargi, wytoczonej Wierzbińskiemu za rzekome przestępstwo prasowe, a równocześnie zwrócił się do prokuratorji w tej kwestji. Tymczasem Wierzbiński, straciwszy nadzieję uzyskania paszportu, a chcąc rzekomo korzystać z wolnej chwili, wyjechał na kilka dni do Galicji. Nazajutrz po swym powrocie, w sobotę, 9-go sierpnia udał się Wierzbiński na starostwo i magistrat w sprawie paszportu. Tutaj aresztował go inspektor policyjny z nakazu sądu ziemskiego, który podanie o paszport uważał za chęć ucieczki z granic Prus przed sprawą sądową.

Dnia 12. sierpnia 1902 r. został Wierzbiński wypuszczony na wolność za kaucją 5000 marek, złożoną przez swych przyjaciół, a dnia 24. sierpnia zwolnił go na własne żądanie zarząd spółki „Dzienn. Kuj." z obowiązków redaktorskich.

Na tle tych zajść wynika dłuższa polemika pomiędzy Wierzbińskim a Wojtkowskim, która ustała po procesie prasowym. Za umieszczenie wspomnianego już artykułu stanęli: Wierzbiński i Wojtkowski przed sądem. W wyniku rozprawy sąd uwolnił Wierzbińskiego od winy i kary, a Wojtkowskiego skazał na 100 mk. grzywny lub 20 dni aresztu.

Wierzbiński wyjechał z Inowrocławia do Poznania, gdzie objął stanowisko redaktora naczelnego „Pracy", wydawanej przez śmiertelnego wroga komisji kolonizacyjnej *Marcina Biedermanna.* Wierzbiński w stolicy Kujaw Zachodnich nie zdołał sobie



Maciej Wierzbiński

zdobyć sympatji u społeczeństwa. Zawikłał się w niebezpieczny romans, który opinja publiczna potępiła, a który dostarczył mu wątku do swej najpiękniejszej powieści: „Pod Mysią Wieżą".

Świetne były artykuły polityczne Macieja Wierzbińskiego oraz jego recencje teatralne, które pisywał pod pseudonimem Roman Rola.

Artykuł Wierzbińskiego pt. „Niebezpieczne ambicje Niemiec", opublikowany 6-go sierpnia 1905 roku w „Pracy", wywołał proces, który dla autora skończył się tragicznie, bo skazał go sąd poznański na półtora roku więzienia. Kaźń tę odbył Wierzbiński we Wronkach.

Po wyjściu z celi więziennej, opuścił Wierzbiński Wielkopolskę i przeniósł się na stałe do Warszawy, gdzie od 1908—1910 r. był współpracownikiem narodowego „Słowa", a po wojnie „Rzeczypospolitej".

Wyrosły i wychowany na glebie wielkopolskiej, nie zapomniał Wierzbiński o krainie wielkich dolin, którą opisywał w licznych powieściach. Wierzbiński znał, kochał i uwielbiał ziemię Łukaszewiczów, Berwińskich, Libeltów, Trentowskich, Działyńskich, Moraczewskich, Morawskich, Wilkońskich, Callierów, Karwowskich, Przybyszewskich i Kasprowiczów.

Wielkopolsce, jej dziejom, obyczajom i ludziom poświęcił swoje pióro, którego nie zdołała złamać dzicz pruska.

Jeden jedyny Wierzbiński zasłużył na miano „powieściopisarza wielkopolskiego", gdyż prawie cała jego twórczość łączy się silnie z kresami zachodniemi, z ziemią Piasta i Lecha, on obrazuje życie Wielkopolanina na wsi i w mieście, walczy z prusactwem, kreśli tragiczne zmagania nasze z „kulturträgerami".

A twórczość Wierzbińskiego dość bogata. Nie będziemy jej analizować, bo i miejsca na to niema.

Oto tytuły niektórych powieści Wierzbińskiego: „Kniaź i Księżna" (1908 r.), „W przeklętym domu" (1908 r.), „Pod mysią wieżą" (1910 r.), „Bies i skarbonka" (1910 r.), „Wiosna ludów" (1919 r.), „Honor", „Dolar i spółka" (1918), „Menażerja" (1924), „Jego dwie żony", „Wielka gra", „Wolność" (1927 r.), „Pękły okowy" (1929 r.), „Stach Wichura", „Szalony rok", „Oaza miłości", „Małżeństwo na próbę", „Na Gdańsk", „Atak sępów", „Uśmiechy", „Syn Kresów".

Wydał też Wierzbiński kilka zbiorów nowel, a między innemi: „Pięść Marcina Wilczaka", „Zakazana muzyka" i „Siostra Felicja".

Napisał akt dramatyczny „Dwie kobiety" pod pseudonimem Roman Rola oraz sztukę dramatyczną p. t. „Kaiser", graną w Poznaniu i na prowincji.

Wydał kilka rozpraw, jak: „Henryk Dąbrowski", „Idea niemiecka a Polacy", „Mierosławski — portret".

Ogłosił szereg studjów literackich i tłumaczeń z literatury angielskiej. Wierzbiński był pisarzem pracowitym i płodnym. Cieszył się swego czasu wielką poczytnością. Na krótko przed zgonem otrzymał nagrodę im. Elizy Orzeszkowej.

*

Po zgonie Wierzbińskiego Wielkopolska utraciła swego jedynego powieściopisarza.

Antoni Marczyński (urodzony w Poznaniu), ani Aleksander Janta-Połczyński w ścisłem tego słowa znaczeniu powieściopisarzami wielkopolskimi nie są, bo poruszają w swych utworach zagadnienia, niczem nie związane z życiem Wielkopolski.

Czekamy teraz na następcę Wierzbińskiego, który pióro swe znów poświęci bez zastrzeżeń ziemi wielkopolskiej.

STANISŁAW CZERNIK:

ARCHA

Zbliżenie kulturalne polsko-czeskie nie wymaga uzasadnienia. Widać w tym kierunku poczynania po obydwóch stronach. U nas ostatnio temi sprawami zajmował się warszawski „Zet" i krakowska „Gazeta Liter.". Obecnie mamy do zanotowania miły dla nas objaw w postaci specjalnego numeru „Archy", poświęconego w całości rzeczom polskim.

„Archa" jest pismem kwartalnem poświęconem literaturze, sztuce, kulturze i życiu. Wychodzi na prowincji, w Ołomuńcu — i o ile dobrze zdołałem zauważyć — zasadami programowemi odpowiadałaby „Wiciom". W każdym razie reprezentuje kierunek poszukiwania źródeł rozwojowych kultury przedewszystkiem w pierwiastkach rodzimych.

Zeszyt trzeci przedstawia spory (przeszło 100 stron) i ładnie wydany tom. Poważną część zajmują przekłady z najnowszej poezji polskiej — dzieło niestrudzonego tłumacza poetów polskich na język czeski Adolfa Gajdosa. Prawie sto wierszy 25 poetów — od Staffa do najmłodszych! Zebrane w jednym tomie dają nieomal antologję współczesnej poezji polskiej. Przeważają tam wiersze poetów krakowskich, niemniej wnikliwy tłumacz zwrócił uwagę również na wysiłki literackie innych środowisk; nadmienię, że i „Wici" są reprezentowane w tym zbiorze przez mój wiersz „O polskim płocie" (patrz numer styczniowy br.).

W dziale artykułów zwraca uwagę rzecz Emanuela Masaka o stosunkach Tomasza Bratranka z Józefem Szujskim, causerie Adolfa Gajdosa o Krakowie i jego rzut oka na współczesną poezję polską, oraz Karola Schulza „Myslenka svatovojteska". Konsul polski w Morawskiej Ostrawie dr. Karol Ripa pisze o współpracy czesko-polskiej, Jerzy Branu o Hoene-Wrońskim, jako największym filozofie słowiańskim, wreszcie St. Marek-Mazurkiewicz o sztuce polskiej. Życie literackie w Krakowie zobrazowali Wiesław Gorecki i Tadeusz Kudliński. Wreszcie mój artykulik „Smer literarne-regionalni we Welkopolsce", w którym charakteryzuję poczynania „Wici Wielkopolskich".

Bardzo ciekawy jest indeks poloniców, które umieściła „Archa" w okresie dwudziestu lat (1912—33). Przedewszystkiem sam redaktor Emanuel Masak dał dwadzieścia artykułów, a sekundują mu dzielnie Otto Babler i Adolf Gajdos. 170 przekładów z autorów polskich jest niewątpliwie imponującą pozycją i wyrazem ciągłości zainteresowań i trudu Masaka, Karnika, Boblera i Gajdosa.

Ostatni numer „Archy" dobrze zasłużył się idei zbliżenia polsko-czeskiego.

Raz na wozie, raz pod wozem... Tespisa

Z ŻYCIA TEATRÓW POZNAŃSKICH

W historji teatrów trzeba rozróżnić dwa czynniki. Ludzi teatru, przez których rozumiem głównie kierowników placówek teatralnych, odpowiedzialnych za dobór repertuaru (a więc pomijam tu sam repertuar, czyli twórczość dramatyczną) i wykonawców podjętego utworu. I dalej publiczność, przez którą rozumiem wszystkich widzów, prócz... recenzentów.

Ułatwiwszy sobie w ten sposób zadanie, dobieram się do poszczególnych grup.

Kierownicy teatrów poznańskich, jak kierownicy teatrów wogóle, w przeciwstawieniu do drugiego, rozróżnionego przez nas czynnika, do publiczności, przedstawiają element zmienny, niestały. Ze zmianą kierowników teatrów, zmienia się duch tych przybytków, albo wogóle znika. Historja poszczególnych scen wiąże się z nazwiskami ich kierowników.

Ostatnie lata przyniosły w Poznaniu w tym zakresie daleko idące zmiany. Teatry przeszły mocne wstrząsy. W gruzy rozpadły się dawne zespoły; chciałoby się powiedzieć, że się *ZASyPały*. Rok ubiegły minął pod znakiem lizania ran po krachu *ZASPu*. Byliśmy świadkami usiłowań, idących w kierunku podniesienia poziomu a skończyło się na łapaniu publiczności na repertuar rzekomo kasowy. To doprowadziło do upadku scen i do odstraszenia publiczności.

A publiczność? Ta się nie zmienia z dnia na dzień. Publiczność powojenna jest inna, niż ta z przed wojny. To zrozumiałe. Jak inny jest świat z przed i powojnie. Z tą zmianą trzeba się liczyć. Ale czy nie nastąpiła już jaka taka stabilizacja? Tymczasem, w chaosie pojęć powojennych, eksperymentując, robiło się nieświadomie wiele, aby tę publiczność odstraszyć.

Dziś jest inaczej.

Dziś t. zn. od początku obecnego sezonu. Jest to dość ryzykowne, wysnuwać wnioski na początku sezonu; trudno jednak, przyglądając się niektórym nowym zespołem, od tych wniosków się cofnąć.

Teatr Wielki odmłodził się od góry. Zygmunt Latoszewski, utalentowany kapelmistrz, stanął na czele. W okresie sprawozdawczym od 1 do 20 paźdź. dał 8 premjer: 6 oper i dwie operetki. Czy te liczby nie świadczą o dużem poświęceniu całego zespołu i czy nie są dowodem, że kierownictwo zostało oddane w dobre ręce? A gdy dodamy do tych cyfr jeszcze jedną pozycję: koncert symfoniczny?

Nie tak dawno bardzo górnie dyskutowali różni znawcy i imputowali publiczności, że opera się przeżyła, że wartość muzyczną przedstawiają jedynie „czyste" koncerty. Publiczność była tem początkowo zdezorjentowana i uwierzyła na słowo. Powoli jednak otrząsnęła się z sugestyj. I dziś sytuacja przedstawia się tak, że opery mają komplety widzów i słuchaczy a koncerty symfoniczne odbywają się coraz rzadziej. Publiczność jednak dyktuje warunki a nie recenzenci.

Z braku miejsca w dzisiejszym sprawozdaniu zarejestrujemy chociażby wszystkie wystawione utwory. Inauguracja sezonu „Strasznym Dworem" Moniuszki — to tradycja i arcydzieło zarazem. „Rigoletto" z Olgą Olgino, „Carmen" z Janiną Hupertową, „Żydówka" z Wermińską, „Tosca" z Wermińską, „Madame Buterfly" z Fedyczkowską, te perły oper, bywały wystawiane z największą starannością Operetki „Bocaccio" Suppe'go z Fontanką i „Palestrant" (Bettelstudent) Millöckera, wystawiane gwoli uciechy publiczności, nie znajdowały takiego aplauzu i takiego przyjęcia, jak opery.

Jakkolwiek to do nas nie należy, nie można tu nie wspomnieć o I koncercie symfonicznym. Dyrygent p, Latoszewski, solistka p. Umińska; wykonano Karłowicza: „Rapsodję litewską", tegoż: „Koncert skrzypcowy" i Brahmsa: „I symfonję".

Teatr Polski rozpocząwszy sezon 5 paźdz. „Weselem", ma za sobą dwie premjery. I ten teatr się bodaj odmłodził od góry. Zespół został mocno zmieniony. Kierunek artystyczny należy do p. Roberta Boelkego, znanego Poznaniowi i cenionego artysty.

Jakkolwiek dwie premjery ma dopiero Teatr Polski za sobą, taka pozycja, jak „Wesele" Wyspiańskiego z Ludwikiem Solskim w roli Gospodarza i... reżysera, mówi za siebie. Cały zespół, obcy dotąd, dał się poznać z najlepszej strony.

Na drugi ogień poszedł „Stefek" Devala w reżyserji p. H. Arkawin.

I ta francuska komedja znalazła się w dobrej obsadzie.

Teatr Nowy, wydawało się, że jest nie do pomyślenia bez Cieszkowskiej; a jednak jest. Dotychczasowy sezon minął pod znakiem występów Antoniego Fertnera w trzech komedjach: Stefana Kiedrzyńskiego „Ten stary warjat", Verneuil'a „Kocham Cię... i będziesz moją..." i Z. Kaweckiego „Pan Kalina pisze sztukę".

Teatr Nowości, prowadzi p. dyr. Wojciechowski. Ma za sobą jedną premjerę operetki „No, no, Nanette" V. Joumansa.

Następne sprawozdania pozwolą nam się bliżej zająć poszczególnemi sztukami.

Janusz Deresiewicz.

LISTY Z REGJONÓW

Z LESZNA

„Błękitna godzina" i „Dni Wielkiej Doliny" w Lesznie

„Nie przyszła góra do Mahometa. poszedł Mahomet do góry..."

Takie motto pozwoliłem sobie umieścić z racji wieczoru talentów wielkopolskich w Lesznie.

Czy trzeba je objaśniać? Na wszelki wypadek!

Trzeźwa epoka nie lubi wierszy, a nie lubi dlatego, bo nie zna poetów. Do Leszna przybyli Swinarski z Turwidem, ujrzeli i... zwyciężyli. „Wici" też.

Zdaje się, że tu kogoś naśladuję, ale mniejsza z tem!

Mądrze i przebiegle uczynił Mahomet, jeszcze mądrzej i przebieglej zrobili nasi poeci, o których mam zamiar poplotkować.

Czasem i martwe organizacje mają szczęśliwsze pociągnięcia. Oto leszczyńskie Koło T.N.S.W. zaprosiło na niedzielę 15. X. trzech poetów, z których jeden, Stanisław Helsztyński, nie mógł przyjechać z tej prostej przyczyny, że tworzy szereg sonetów o Lesznie. Bezpośrednie więc zetknięcie się z opiewanym terenem i jego atmosferą, mogłoby utrudnić wierne oddanie rzeczywistości. Zdaleka widzi się lepiej...

Mimo to sala Hotelu Polskiego była wypełniona po brzegi (bez przesady!) i to zarówno młodzieżą, jak i inteligencją, oraz światlejszem obywatelstwem.

Miłych gości poprzedziło gruntowne choć zwięzłe (jak rzadko łączą się z sobą te dwa przymioty!) przemówienie prof. Szpunara, który scharakteryzował bieżącą epokę literatury i na doskonale pod malowanem tle (wszak obaj poeci są równocześnie i malarzami) omówił naprzód twórczość Helsztyńskiego a następnie przybyłych osobiście do Leszna Swinarskiego i Turwida.

Prof. Szpunar podkreślił między innemi, że ruch regjonalny w Wielkopolsce nie zacieśnia się do granic parafjańszczyzny, dzięki czemu przekracza swój rodzinny rejon, zdobywając sobie uznanie w całej Polsce. Jednem słowem, na „ugorze wielkopolskim" pojawia się coraz więcej maków i modraków.

Odczytawszy kilka znamiennych sonetów Helsztyńskiego, zauważył prof. Szpunar, że utalentowany poeta, szczery miłośnik, znawca i wielbiciel każdej piędzi ziemi wielkopolskiej, nadużywa może formy sonetu, co na dłuższą metę staje się trochę jednostajne i nużące.

Następnie zacny pedagog — podobno polonista — zebrał się do plotkowania o znajdujących się za kulisami poetów. Mówił nieco długo, boć to jego fach, to też odetchnęli wszyscy, skoro tylko na estradzie pojawił się na czarno ubrany brunet rumuńskiego pokroju, Turwid.

Odrazu pomyślałem: wszystkie książki autorów pójdą piorunem, co się też stało istotnie. Ale nie uprzedzajmy wypadków!

Turwid odczytał z prawdziwym talentem recytatorskim swój symboliczny poemacik „Dni Wielkiej Doliny", następnie „Zapomniany kościółek", dalej „Wspomnienie Gniezna" i „Perły", wierszyk mocny, wezbrany uczuciem świętego oburzenia na barbarzyństwo pruskie a zakończony poetyckiem wezwaniem narodu do szarej, codziennej pracy „w godzinach jasnych" nowej rzeczywistości.

Warto zauważyć, że wiersz Turwida zyskuje wielce przy umiejętnej recytacji. Turwida trzeba czytać głośno, aby przemówił do wyobraźni, rozumu i serca.

Swinarski to typ zgoła inny, daleki od prostolinijności Turwida, bardziej zagadkowy i nieuchwytny, o nastrojach zmiennych i nieobliczalnych. O ile Turwid kroczy wypracowaną i jakby zgóry obmyśloną drogą, o tyle linja twórczości Swinarskiego jest zawiła i kapryśna.

Wymownym przykładem był jego występ. Zaczął bowiem od skreślenia własnego życiorysu, przerywanego co chwilę homerycznym wybuchem śmiechu rozbawionej sali. Błyskotliwość formy, cięty dowcip, niefrasobliwy humor, niekiedy zjadliwa złośliwość a nawet wszeteczna anegdota, stworzyły całość harmonijną. Zdawało się przeto, że poeta pójdzie po tej linji, lecz wesołek i kpiarz, zmienny jak kameleon, przeszedł nagle z groteskowego nastroju do skupienia, powagi, wdzięku i rzewnego, religijnego rozmodlenia.

Autor wzruszył słuchaczy przepięknym wierszykiem „Pomorze", wstrząsnął uczuciem serdecznej tkliwości „Nad śpiącem dzieckiem", by przejść niebawem w ekstazę religijną w „Swiętej Cecylji", wierszyku lekkim, powiewnym, skreślonym po mistrzowsku.

Rozentuzjazmowana publiczność zmusiła obu poetów do kilkokrotnych naddatków. Wszystkie książeczki rozeszły się w mig, dzięki czemu autorzy nie wracali do domów zwyczajem apostołów, jak zamierzali pierwotnie, lecz wyjechali podobno (może to plotki?) pierwszą klasą.

Swiadczy to bardzo pochlebnie nietylko o poetach, ale i o publiczności leszczyńskiej.

Późnym wieczorem odbyło się zebranie towarzyskie T. N. S. W. z udziałem obu, sytych uznania, autorów. Prof. Szpunar odczytał swą humoreskę z życia nauczycielskiego w dobie obecnej, zdradzającą ambicje literackie i czas szybko upłynął na miłej, urozmaiconej grą i tańcami pogawędce.

Widzimy więc, że zetknięcie się osobiste pisarzy z czytelnikami wychodzi obu stronom na pożytek, o czem winni pamiętać ci przedewszystkiem, co śpiewają „nie sobie a Muzom", lecz narodowi.

Przyswojony Wielkopolanin.

Z BYDGOSZCZY

Kryzysowe Muzy

Projekty, nawet bez skłonnności do realizacji, mają swoje dobre strony Pozwalają się zorjentować w możliwościach. W możliwościach przeważnie niewyzyskanych.

W Bydgoszczy projektowano dużo. Projektuje się jeszcze teraz. Wszystko to jest jednak niezdecydowane i niekonkretne. Żywe dzienniki, wieczory autorskie, kabarety literackie, kawiarnie artystyczne. Od czasu do czasu ktoś powie, że można zrobić coś w tym rodzaju. I jest zadowolony. Tak mało sercu trzeba...

Więc brak organizacji życia artystycznego, literackiego, brak organizacji twórczości. A sama twórczość — niezorganizowana? Wątła, anemiczna, niedokarmiona.

Jeśli chodzi o t. zw. twórców, to bezsprzecznie są. Rozróżnić trzeba rzeczywiste talenty i zdecydowane beztalencia. Ludzie z talentem, wpleceni w kwiat codziennej młócki, coraz dotkliwszej walki o byt, zaniedbują ze smutnej konieczności poważne nieraz zadatki. Zato grasują ci drudzy — korzystający z wysokiej protekcji wszechmożnej a ciągle aktualnej muzy: Grafomanji. Jedni nie piszą, dlatego, że nie mają czasu, inni znów piszą tylko dlatego, że mają zadużo czasu i nie wiedzą co z nim poczciwego zrobić. Grasują więc. I to bezkarnie.

Ruchliwszy naród to plastycy. Jeden z drugim malarz maluje, mimo że specjalnej tendencji do kupowania obrazów nie widać. Z różnych punktów widzenia można oceniać rozbicie organizacyjne wśród plastyków pomorskich. Odnoszę osobiście wrażenie, że ma to również swoje dobre strony. Swiadczy o żywotności i temperamentach. I o tem, że coś się jednak dzieje.

Przewagę ma dzisiaj Grupa Plastyków Pomorskich, która już zdążyła wystawić sobie piękny pomnik w postaci Albumu, który godziłoby się szerzej omówić. Grupa dzięki zespoleniu konkretniejszych talentów uzyskała w nierównym wyścigu przewagę bardzo wielu długości nad skonanym Związkiem, o którym jakoś nie słychać. Z oceną dorobku Grupy Plastyków Pomorskich wstrzymujemy się do jej wystawy zbiorowej, którą w najbliższych tygodniach przygotowuje Muzeum Miejskie. Bo obecna wystawa pamiątek i zabytków bydgoskich, choć pożyteczna, większej wartości nie przedstawia. I co gorsze nie może się kończyć.

Teatr Miejski rozpoczął oficjalnie swój sezon. Teatr swoje, publiczność swoje. To znaczy publiczność została w domu. Mimo występy gościnne Zaklickiej. W „Myszy kościelnej" i „Dżimbi". A propos właśnie „Dżimbi": pozostanie dla mnie zawsze tajemnicą jakiegoś dziwnego kaprysu Artura-Marji Swinarskiego, który ten straszliwy produkt węgierskiej tandety — spolszczył. To, się nazywa chyba: pański gest. Źle wyrażona wdzięczność za Batorego.

A wogóle to tegoroczny zespół prezentuje się raczej żałośnie. Trzeba być bardzo rycerskim, aby głośno nie wyrazić wątpliwości, co do aktorskich kwalifikacyj zwłaszcza żeńskiej strony artystycznego kompletu. Na tle zdecydowanej szarzyzny pięknie odbija rzeczywisty talent Romana Niewiarowicza. Kulturalnego aktora, reżysera i autora. Poza nim ratują honor domu Czechowska, Dowmunt, Stoma, Wilamowski. I to wszystko.

H. B. Kuminek.

RECENZJE

pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

Alfons Szyperski:

Błędy językowe w Wielkopolsce

Środa 1933, str. 28.

Redaktor działu recenzyjnego „Wici Wielkop.", znany ze swych specjalnych upodobań do studjów językowych (autor obszerniejszej pracy „Dialekt kulturalny

a gwara"), napisał ostatnio bardzo pożyteczną książeczkę. Jest to sumienna i pouczająca praca. Dzięki przejrzystemu układowi łatwo zorjentować się w jakości „błędów", bo odróżnia się błędy w zakresie 1) fonetyki (samogłoski, spółgłoski, różne zjawiska fonetyczne), 2) tworzenia imion (rzeczowniki, przymiotniki), 3) słownika, 4) deklinacji, 5) nazwisk i nazw geograficznych, 6) konjugacji, 7) wyrażeń błędnych. Zbiorek cały zamykają uwagi na temat: „Co to jest błąd językowy?"

Autor zastrzega się tak w tytule: „Błędy językowe w Wielkopolsce", jak i w krótkiej przedmowie, że „nie chodzi mu o błędy wielkopolskie, lecz o błędy spotykane w Wielkop." Z tego, jak również z końcowych rozważań (str. 27), wynika, że zdawał sobie sprawę z różnicy, zachodzącej między pospolitym błędem językowym a prowincjonalizmem. Niestety w praktyce tego nie przeprowadził, stawiając na jednej platformie rażące błędy (np. germanizmy) z zadomowionemi prowincjonalizmami. Nie zmienia sytuacji nawet zaznaczanie większych błędów tłustszym drukiem, jeżeli stawiono narówni: **haka, jaka, kista, kranc, lompy, plyndze, rodle, szneka, sznytka..**, **czuć za farbą, jestem przeszkodzony..** z ogólnie używanemi: **barczyk, młodzie** (!) **perka** (!), **kierzynka** (czemu kierzanka ma być lepsza?), **węborek, posowa** (!), **ośpice** (!), **murzyć** (!), **skrabać się** (!), **zakluczyć** (!)... Przyznam się, że mnie osobiście boli takie bądźcobądź poniewieranie silnie zakorzenionych właściwości językowych wielkopolskich, sądzę że również powinno to boleć redaktora pisma regjonalnego. Dlaczego **perka** ma być gorsza od **kartofla**, **posowa** od **sufitu**, **święconka** od **święconego**, **obłożenie** od **mieszaniny**, która zresztą ma również zupełnie inne znaczenie, **młodzie** od **drożdży**...? Czy wyrazy te nie mogą istnieć obok siebie nawet w dialekcie kulturalnym? Naco utrwalać mniemanie, że właśnie nasze dialektyzmy są złe? Mojem zdaniem należało w pracy wyodrębnić „prowincjonalizmy kulturalne" od kardynalnych błędów językowych, aby nie szerzyć fermentu

We wstępie zaznacza się, że „podręczniczek ma charakter regjonalny", mimo to umieszczono błędy niewielkopolskie, np. **jajo, ubierać suknię**. Nie usprawiedliwia nawet tego nieściśle sformułowane zdanie, że „chodzi o błędy spotykane w Wielkop.", bo w takim razie należało szerzej uwzględnić błędy nie — Wielkopolan. Na str. 11 piętnuje się „purystów", lecz niebrak własnych zbytecznych purystycznych zapędów, widocznych choćby z piętnowania takich form i wyrażeń: **książęcia. wika, nienawidzieć, podobny ojcu, bronić ojczyznę, oboje państwa. cieszyć się na co** (por. Język Polski, odpowiedź redakcji 212). Na str. 6 można było również zwrócić uwagę na wymowę **gysi, wiuzać** (gęsi, wiązać); należałoby dodać na str. 20 **siednij** do **usiądź się**, na str. 19 rozpowszechnione w Wielkop. **mełty, pełty** jako równouprawnione z **mielony, pielony**. Postaci **szerść** nigdy nie słyszałem, za to **siyszk. siyszyka, siyszel, siyszch**.

Bardzo liberalnie potraktowano nazwiska i nazwy geograficzne, dając słusznie pierwszeństwo postaciom utartym zwyczajami wymawianiowemi ludności tubylczej, np. **Wągrówiec, Janówiec, do Bród**...

Dla lepszej przejrzystości można było w ciągłym tekście wyróżnić przykłady zmianą druku (np. kursywą).

Tych kilka uwag nasunęło mi się przy czytaniu tej sympatycznej pracy, której wartości nie chciałbym w niczem obniżać. Różnice w zapatrywaniach wynikły przeważnie z innego ustosunkowania się do przedstawionych zjawisk językowych, przedewszystkiem z tego, że p. kol. Sz w nadmiernej gorliwości posunął się za daleko w radykalnem rozstrzyganiu wątpliwości.

Adam Tomaszewski.

Tę samą „nadmierną gorliwość", acz w odwrotnym kierunku, ujawnił recenzent. Chodzi właśnie o ów punkt widzenia na t. zw. poprawność językową. Szanujemy prowincjonalizmy, nie tylko jako regjonaliści, tolerujemy je w mowie, lecz nie w piśmie, o ile wybitni pisarze nie wywalczyli im praw obywatelskich w skarbcu ogólnopolskiego języka. Autorom opisowych „poradników językowych" nie wolno zalecać pewnych wyrazów i zwrotów, jeśli ich nie widzą w ogólnym języku literackim i jeśli nie mają poparcia u popularnych pisarzy. Nie wolno tego, czynić zwłaszcza w szkołach, gdzie szczególnie kult ogólnopolskiej mowy winien kwitnąć. Chociaż więc chętnie jadamy perki i święconkę, musimy dotąd jeszcze napisać np. w feljetonie: ziemniak lub kartofel (Mickiewicz pisał o kartofli, nie o perce) i święcone, a gdy czytamy w wypracowaniach szkolnych takie zdania jak: **umurzony chłopiec niesie glubki w węborku**, w **kierzynce** robią masło, brat był u **ośpic** itd., to lubo nas to boli, nie szczędzimy czerwonego atramentu. Dr. Tomaszewski niewątpliwie też. Najwłaściwsze stanowisko zajęła tu, naszem zdaniem, literatka dr. W. Brzeska, która pisze: „podręcznik p. S. propagujmy w gronie wybitnych pisarzy polskich...", słusznie, tą drogą jedynie można walczyć o uznanie naszych prowincjonalizmów, które są często pięknemi archaizmami, i nie są bynajmniej gorsze od innych. Dr. T. ma rację z czysto lingwistycznego punktu widzenia, który nie bierze pod uwagę norm, faktów a czasem konwenansów literackich.

„Zbyteczne purystyczne zapędy" nie są naszą wyłączną właściwością, ujawnił je również np. Lehr Spławiński. Pisze on: „w liczbie pojedynczej zamiast pełnych form książęcla, książęciu itd. (których używało się w dawnej polszczyźnie, a dziś słyszy się tylko wyjątkowo) używa się form skróconych: księcia, księciu itp. (Gramatyka jęz. polsk. wyd. 4 str. 85). Jeśli słyszy się książęcia tylko wyjątkowo, a w piśmie nie widzi zupełnie (chyba że celowo archaizują), niema racji do niego wracać. Książęcia to dziś forma gwarowa, której w szkołach używać stanowczo nie wolno.

W książkach rolniczych (to decydujące) czytamy tylko o **wyce, wice**, tak też w Słowniku etymol. Brücknera i w zwykłych słownikach polskich. Choćby więc dziś brzmienie **wika** uchodziło za bardziej polskie od **wyki** nie mamy prawa go narzucać. Inni Słowianie mogą sobie mówić wika, my zostańmy przy starej (już w XVII w.) wyce!

Podobny do ojca. Tu istotnie należałoby zaznaczyć, że ta składnia uchodzi tylko za lepszą (por. chociaż Arcta Słownik frazeologiczny), ale tamta (podobny ojcu) jesf możliwa.

Cieszyć się na co; Język Polski tłumaczy możliwość takiego zwrotu, lecz go wcale nie zaleca.

Ponownie przekonaliśmy się, że **jajo**, uchodzące u półinteligentów językowych za poprawniejsze od **jaje**, znajduje szeroki w Wielkopolsce zasięg. — Unikaliśmy form i brzmień mocno gwarowych, do jakich zaliczylibyśmy: **siyszk, siyszka, gysi, wiuzać**. Przyznajemy natomiast, że **szerść** i **ubierać suknię** to błędy książkowe, nie będące w żywym obiegu. — **Nienawidzić**, bo **nienawidził** — prostsza zasada w tej kategorji (por. Pisownia Polska, wyd. 8 str. 7, też Słowniczek, itakże wyd. Nitscha (10). Inaczej Brückner.

Przy zwrocie **oboje państwo** może trzebaby dodać: gdy chodzi o męża i żonę, by uniknąć dwuznaczności (por. Szober, Poradn. Jęz. 1932 z. 2). Nie jest to więc „zapęd purystyczny", tylko zbyt lakoniczna i przez to niedokładna stylizacja.

Z drugiej strony wydaje się nam, że słuszniej możnaby poruszyć wątpliwość takiego np. rozstrzygnięcia naszego jak: **źle w borze, poprawnie w boru**. Obie końcówki są tu poprawne, bo w literaturze tak i owak, a w gramatykach? Jeden autor chce tylko: w boru (Szober, Gram. j. polsk. 2, str. 182 „powszechnie używamy form: w boru" itd.) drugi (Sekr. Spławiński w borze (l. c. str. 66).

Widzimy więc, że sprawa poprawności językowej przy dzisiejszym stanie badań współczesnej polszczyzny musi kuleć. Nie zajmować się nią wcale byłoby dowodem upadku kultury słowa i lekceważenia mowy.

Chaos panuje wśród samych językoznawców. Porównując np. wskazówki i słowniki tej samej komisji językowej Ak. Um. można prawdziwego „kręćka" dostać, mimo że patronuje jej prof. Nitsch. Osobny artykuł poświęcił tenże błędnej wymowie **wychodźtwo** (poprawnie **wychodztwo** i tak też wyłącznie w Słowniku Ak. Um.). ale prawidła poprawnej wymowy polskiej „polecone nauczycielom wszyst. szkół rozp. Min." jak na złość zalecają tylko **wychodźtwo**, a **wychodztwo** wyraźnie potępiają. Ta sama komedja z **chrząkaniem** i **krząkaniem** itd. (Prawidła **krząkać** potępiają).

I dziwić się potem uczniom, skoro wobec tego sami nauczyciele często nie wiedzą co począć. (Na marginesie zaznaczamy, że jeszcze większe zamieszanie panuje w naszej ortografji. Nowy „Słowniczek" poleciło podobno Ministerstwo (tak pisze Nitsch a Poradnik Językowy temu przeczy! — ładna historja!), ale nowe wydania „ministerjalne" książek szkolnych dla nowej klasy mają pisownię starą. Jak ma z tego wybrnąć nauczyciel?)

Przed zarzutem utrwalania mniemania, że „właśnie nasze dialektyzmy są złe" bronią nas poglądy wyrażone w pracy „Dialekt kulturalny a gwara", a ostatnio w Dzienniku Pozn. nr. 228 Nie będziemy więc też tych rzeczy powtarzać, odsyłając tam czytelnika.

A. S.

KRONIKA

— **Nowy Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich w Poznaniu.** W miejsce dawnego zarządu z prezesem B. Koreywą na czele, wybrano obecnie na prezesa prof. T. Grabowskiego, a na członków zarządu: pp. Zembruską-Górzyńską, K. Piekarczyka, Z. Kosidowskiego i J. Sztaudyngera.

— **„O nacjonaliźmie i katolicyźmie"**, mówił w Poznaniu z inicjatywy Klubu Poetów, dr. Konrad Górski. Należy żałować, że tak interesujący temat, nie zdołał przyciągnąć większej ilości słuchaczy.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.
Redakcja: Poznań, ul. Kochanowskiego 17, m. 7. — Przedstawiciel redakcji J. Deresiewicz przyjmuje w poniedziałki, i czwartki od godziny 3—4. — Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński. ul. Grottgera 19 m. 13 - Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.